

Marie siedziała w trawie i wpatrywała się w jagody czerwonej porzeczki na krzaku, targane wiatrem ponad bielonym murem. Wiedziała, że jeżeli zerwie owoce, czeka ją lanie, dlatego czuła się rozdarta między chęcią posmakowania gorzkawo-kwaśnej, czerwonej jagody a groźbą ostrego, silnego bólu na policzku. Garstka czerwonych porzeczek już niemal ją skusiła. Dziewczynka opadła na kolana. Żdźbła traw ugięły się pod jej ciężarem, gdy wyciągnęła dwa palce w kierunku owoców. W tej samej chwili zdarzyły się dwie rzeczy, jakby jej palce pociągnęły w powietrzu za dwa niewidzialne sznurki.

– Marie, Marie!

To był dziwnie przygaszony głos należący do matki. Jednocześnie poczuła coś ciepłego na grzbiecie dłoni. Zerknęła na rękę pobieloną odchodami mewy. Spojrzała w górę, ale ptak już zniknął. Ponownie doszedł ją głos matki, tym razem bardziej rozdzierający.

– Marie, Marie!

Podniosła się, wytarła dłoń w fartuszek w kratkę i wbiegła do kuchni, skąd zazwyczaj dochodziło wołanie, ale wewnątrz zastała tylko poczerniały piec syczący drewnem opałowym. Na wierzchu leżał świński łeb. Przy stole, na drewnianej rozkładanej ławie, siedział Valdemar i nie odrywając wzroku od kartki, ćwiczył pisanie litery *b*.

Marie minęła drzwi, kierując się w stronę schodów prowadzących do dwóch pokoi na górze przeznaczonych do spania. Zastała tam siedzącą matkę, ubraną w bawełnianą

sukienkę w kratkę, której materiał spływał na niższe stopnie. Fartuszek Marie został uszyty z jego resztek. Matka trzymała za ramiona Kaja, jej starszego o pięć lat brata. Rozwarła mu usta i wsadziła palce do środka.

– Co on takiego zrobił? – zapytała Marie.

– Osa! – krzyknęła matka. – Te pieprzone osy.

Marie dostrzegła, jak twarz brata zaczyna sinieć, co już samo w sobie wskazywało na to, że coś jest nie w porządku. Matka wyjęła palce z ust Kaja i teraz próbowała wdmuchnąć do nich powietrze, ale to nie pomogło. Marie odwróciła się i pędem ruszyła przez kuchnię do ogrodu.

– No pomóżże mi! – krzyknęła za nią matka.

Marie biegła po wilgotnej, miękkiej trawie w stronę pobielonego ogrodzenia. Wzdłuż płotu rosły kępki trzciny, z których Kaj kiedyś odrywał pojedyncze źdźbła, aby ją nimi poślaskać. Sprawiały one jednocześnie, że ogród zdawał się leżeć bliżej cieśniny Bełtu Langelandskiego, niż to miało miejsce w rzeczywistości. Zerwała jedno źdźbło i wygładzając łodygę zębami, puściła się biegiem z powrotem, minęła kuchnię z syczącym drewnem, śmiejącym się z niej łbem świni na stole, i zatrzymała dopiero przed Valdemarem stojącym pośrodku podłogi, który zdążył już zesikać się w spodnie. Twarz Kaja lekko się zaróżowiła, białe usta matki przywierały do jego buzi.

– Przesuń się – poleciła Marie, która już dawno temu pojęła, że dzieci mają być widoczne, a nie głośne, ale w tym przypadku odsunęła twarz matki od Kaja.

Gdy kobieta nieco się cofnęła, jej oczy przybrały zieleńszą barwę, przypominając świecące szklane perełki. Marie wcisnęła źdźbło głęboko do giętkiego przełyku Kaja. Musiała stanąć na palcach, bo łodyga okazała się długa. Przywarła ustami do jego ust i gdy wpuszczała powietrze do jego wnętrza, w miejsce użądlenia i dalej do samych płuc, dał się słyszeć słaby świst, niczym odgłos jakiegoś podziemnego ptaka. Tlen zaczął docierać do krwiobiegu Kaja i kiedy tak

dmuchała miarowym tempem swojego oddechu, obie z matką w jednej chwili dostrzegły to samo. Różowawy odcień jego twarzy pociemniał na moment, potem przeszedł w siny, wreszcie w czerwony, aż w końcu wrócił do swojej naturalnej postaci – kremowej barwy, poprętykanej piegami i czerwonymi plamami.

Gdy opuchlizna po uządleniu ustąpiła na tyle, że Kaj mógł samodzielnie oddychać, matka ułożyła go na drewnianej rozkładanej ławie. Leżał wewnątrz, na słomianym sieniaku, pod ciężką kołdrą z kurzego pierza, przykryty brązową, połataną powłóczką w wąskie niebieskie paski, którą Marie tak lubiła. Siedziała na skraju mebla i próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby teraz kuchnia, gdyby Kaj umarł. Wówczas leżałby na kuchennym stole zamiast piórek cebuli, łodygi pora i pietruszki. Nadgarstki matki nie opierałyby się o róg, a dłonie nie zajmowałyby się wiązaniem pęczka ziół przeznaczonych do garnka ze świńskim łbem. Może w piecu zgasłby ogień, a ich matka stałaby w oknie wychodzącym na Østerskovvej, gdzie na wzniesieniu można było dostrzec trzy jabłonie przysłaniające widok na morze. A może siedziałyby teraz na krześle i wpatrywała się w jego zwłoki, rozpinając kok swoich kruczoczarnych włosów, jak robiła to co wieczór.

Kaj podniósł głowę ponad ławę i wymiotował na kamienną posadzkę.

– Nie dość miałam już dzisiaj z tobą problemów? – odezwała się ze złością matka. – Wstawaj i przynieś trochę wody. Zaraz przyjdzie ojciec.

Kaj chwycił za metalowe wiadro stojące przy zlewie, ale zamarł pośrodku pomieszczenia.

– Pospiesz się, chłopcze – ponagliła go matka. – Żeby się nie wściekł.

Marie wybiegła przed dom, aby wyjść ojcu naprzeciw. Stała przy drodze z bosymi, pobrudzonymi stopami, w fartuszkę w kratkę nałożonym na starannie pocerowaną

bawełnianą sukienkę; miała cienkie włosy splecione na plecach i błyszczące, zielone oczy matki. Podążała wzrokiem za ojcem, którego dostrzegła jako punkt na drodze. Ruszyła biegiem. Ostry żwir sprawiał stopom ból, ale nie odrywała wzroku od mężczyzny, który rósł w oczach. Jednocześnie próbowała odczytać jego krok. Był lekki czy też poirytowany?

Marie nie potrafiła jeszcze domyślić się jego nastroju. Zatrzymała się zdyszana, po czym się odwróciła. U szczytu wzgórza, za wzniesieniami, dostrzegła skrawek morza.

Morze daje, morze odbiera, morze bądź dla nas łaskawe – mamrotały kobiety w kościele w Tryggelev podczas niedzieli tak cicho, że pastor Olsen nie mógł ich usłyszeć.

Z kościelnego sklepienia zwisały drewniane modele statków, budowane zimą przez rybaków. Marie wyobrażała sobie, jak przemierzają niewidoczne morze, a ona je obserwuje, siedząc na dnie. Dwa z nich – niebieski i czerwony – zostały zbudowane przez jej wujka Thorvalda, jeszcze zanim udał się na swoją ostatnią morską wyprawę.

– Z pewnością wiedział, że już z niej nie wróci – powtarzała matka podczas każdej wizyty w kościele. – Drżały mu dłonie, gdy wręczał je pastelowi – dodawała.

Marie, siedząc w kościele i nucąc psalm, wiedziała, że mogłaby utonąć w morzu, po którym pływał statek Thorvalda.

Często pachnie kwiecie i drży o świcie;

wieczorem leży zmięte po gradobiciu.

Często bawiło się dziecię w porannego słońca krasie;

a wieczorem leżało bez życia, cicho jak makiem zasiał.

Nienawidziła tego psalmu, choć musieli go śpiewać niemal w kółko – o poranku w szkole i co niedzielę w kościele, a wtedy za każdym razem wydawało jej się, że leży martwa w trumnie pod statkiem Thorvalda. Jego ciało nigdzie nie wypłynęło, spoczywało martwe w morskiej skrzyni, a matka

Marie twierdziła, że babka z tego powodu już nigdy nie doszła do siebie.

Zmusiła się, aby do nadejścia ojca pomyśleć o czymś innym niż Thorvald i psalm. Potrafiła nakłonić swoje myśli, aby skrzyć w innym kierunku niczym pług, który zawraca na polu, a koń – zanim bat nie zmusi go do zmiany kierunku i poczłapania z pługiem tworzącym kolejną bruzdę – stoi przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w wiatrochronne ogrodzenie.

Przywołała w pamięci: Eryk I Zawsze Dobry rządził w latach 1095–1103. Przymknęła na moment oczy. Królewskie dynastie pamiętała lepiej od Kaja. Niels Stary władał w okresie 1104–1134, Eryk II Pamiętny – 1134–1137. To, że rok, w którym dany władca kończył swoje panowanie, był jednocześnie tym samym, w którym rządzić zaczynał kolejny, wydało jej się takie uporządkowane i spójne. Poza tym kiedy należało wymienić bezkrólewie, brzmiały równie pięknie jak pora deszczowa. Eryk III Jagnię sprawował rządy w latach 1137–1146, a potem następował Swen III Grade.

Ojciec był dumny, że jego syn nosi imię Valdemar, chociaż matce się to nie podobało, gdyż bracia ojca nazywali się Svend i Knud. Jeżeli jednak tylko o tym wspomniała, ojciec walił pięścią w stół albo wymierzał jej policzek. Wówczas uciwała wszelkie uwagi.

Teraz Marie dostrzegła go już wyraźnie. Trzymał pod pachą jakieś czworokątne zawiniątko. Kiedy wracał do domu, nigdy niczego nie przynosił. Gdy ich opuszczał o poranku, zabierał ze sobą kanapki obwiązane sznurkiem, które dyndały mu w dłoni niczym jakiś biały kwiatek. Ruszyła biegiem w jego kierunku na swoich szczupłych nogach. Zatrzymała wzrok na jego twarzy. Spojrzenie miał otwarte niby drzwi kuchenne rozwarte na oścież. To był ten dostępny ojciec – ten, z którym mogła porozmawiać, choć teraz nie wyciągnął w jej stronę ramion, bo były zajęte.

– Uratowałam Kaja od śmierci! – krzyknęła Marie.

Drzwi do jego oblicza się zatrzasnęły. Czyżby wcześniej się pomyliła? Czy też było takie przez cały czas?

– Co ty, dzieciaku, pleciesz za bzdury? – zapytał.

Jakie bzdury? Marie zobaczyła przed sobą Kaja w postaci figurki marynarza na statku Thorvalda w kościele, podczas gdy ona sama, siedząc na drewnianej ławce, nuciła:

*Często bawiło się dziecię w porannego słońca krasie;
a wieczorem leżało bez życia, cicho jak makiem zasiał.*

– Użądliła go osa. W gardło.

– Wieczne utrapienie z tym chłopakiem – skomentował ojciec.

Podążyli razem w stronę domu. Zza wzgórz wyłaniał się skrawek szarego morza. Przed białą chałupą rośl orzech włoski, a w ogrodzie sąsiadowały z nim dwie grusze. Pole pszenicy za domem bawiło się z wiatrem, tworząc falujące cienie. Żwirowa ścieżka prowadząca do Østerskov Strand wiła się między wzniesieniami raz w górę, raz w dół. Nie można było dostrzec ani Lolandii, ani Niemiec. Marie wsunęła dłoń do wolnej ręki ojca, szorstkiej i poranionej od ostrych żdźbeł, którymi pokrywał dachy. Pozwolił jej trzymać się za rękę.

– Osa? – upewniał się.

– Nie mógł oddychać.

– Nicpoń – zawyrokował. – Tylko to można o nim powiedzieć.

– Co tam masz? – zapytała, wskazując na trzymane przez niego pod pachą czworokątne zawiniątko.

– Twoja matka to dobra kobieta – odparł. – Gdy przyjdzie co do czego.

– Czy to prezent dla mamy? – dopytywała Marie, upominając siebie, aby nie okazywać zaskoczenia. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby matka otrzymywała jakieś prezenty – ani na urodziny, ani na Gwiazdkę.

– Nie praktykujemy tu takich rzeczy – wyjaśniła matka, zaciskając usta, gdy Marie kiedyś ją o to zapytała. – To wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Jednak ona, Kaj i Valdemar dostawali przecież prezenty. Nie tak jak Hardy czy jego młodszy brat, których rodzina należała do Misji Wewnętrznej* i którzy nie mogli nawet grać w karty podczas przerw w szkole.

– Odziedziczysz to – odezwał się nagle ojciec. Marie nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mówił takim tonem. – Już ja o to zadbam. Bo przecież nie ten głupol, Pszczeli Kaj.



Gdy weszli do kuchni, Marie usłyszała, jak matka głęboko wciąga powietrze i wstrzymuje oddech. Kaj okrążał stół, trzymając sztucze w dłoniach. Górna część skrzydła drzwi wychodzących na ogród była otwarta, co zapewniało widok na krzewy dzikiej róży, wiciokrzewu i sitowia rosnącego wzdłuż ogrodzenia oddzielającego podwórkę od wzniesienia pokrytego ciężką pszenicą.

– Jedzenie gotowe – odezwała się matka, odwracając się do nich plecami.

Sięgnęła po talerz w kwieciste bukiety, wyjęła świński ryj z wody i ułożyła go na nim. Oczy zwiślały z oczodołów niczym meduzy wydobywające się z podwodnej groty. Ojciec uwolnił dłoń z uścisku Marie, wyciągnął rękę do przodu, chwycił jedno z nich i połknął. Kaj z opuszczonym wzrokiem układał sztucze przy każdym talerzu.

– No, Pszczeli Kaju – zagaił ojciec, gdy już przełknął oko. – Myślałem, że tylko głupcy chodzą z rozdziawioną gębą.

Kaj przesunął nieco nóż. Z trawnika na zewnątrz dolatywało skrzeczenie srok. Matka postawiła na stole musztardę. Przeniosła garnek z ziemniakami nad kamienny zlew i odcedziła je. Para buchnęła jej w twarz.

– Mam pomóc? – zapytała Marie.

Matka wręczyła jej nóż do obierania.

– Tylko starannie – poleciła. – Usuń wszystkie pędy.

Dziewczynka stanęła nad zlewem, wyobrażając sobie, jak ojciec zjada wszystkie pędy, jeden po drugim. Wtedy padł cios. Zabrzmiał jak wymierzony policzek.

– Czy ty rozumiesz, jakich kłopotów mogłeś nam narobić?! – krzyknął ojciec.

Po chwili kolejne uderzenie. Marie oddychała bezgłośnie.

– Siadajcie – zaordynowała matka. – Zaczynij kroić, Carl.

Ojciec odsunął krzesło. Marie usłyszała, jak Kaj ostrożnie zajmuje miejsce.

– Co tam masz? – zapytała matka.

Zostało jej do obrania jeszcze tylko pięć ziemniaków. Sucha i gorąca łupina paliła końcówki palców.

– Niespodzianka po posiłku – odparł.

Matka zerknęła na niego zaskoczona. Marie odłożyła ostatni obrany ziemniak na talerz. Matka chwyciła posiekany koperk w dwa palce i oprószyła nim ziemniaki. Marie otworzyła drzwi do spiżarki, skąd owionęła ją woń tłuszczu i octu. Sięgnęła po dzbanek z masłem i postawiła go na stole. Zasedli przy nim całą piątką. Jednocześnie złożyli dłonie i oparli czoła o czubki palców wskazujących. To matka odmówiła modlitwę.

– Wzrok wszystkich zwrócony jest ku Tobie, Panie, a Ty ześlesz śmierć, gdy nadejdzie właściwa pora. Otwierasz swą dłoń i błogosławiąc, karmisz wszelkie żywe stworzenie. Panie, pobłogosław nas i te dary, które przyjmujemy jako wyraz Twojej szczodroblewości. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Ponownie unieśli twarze. Ojciec chwycił za nóż, odciął podgardle i położył je sobie na talerzu. Następnie czubkiem noża rozciął świńską głowę, wyciął kawałek mózgu i ułożył obok podgardla. Podał nóż matce, a ta przesunęła w jego stronę półmisek z pachnącymi koperkiem ziemniakami.

– Tak, dziękuję, czas na ziemniaki – uśmiechnął się.

Matka przekroiła głowę świni na pół i zaczęła wycinać kawałki dla siebie i dzieci. Ojciec ssał i pomlaskiwał, podczas gdy dzieci posilały się bezgłośnie, jakby ich usta były zrobione z jakiegoś materiału. W końcu odsunął talerz na środek stołu, wytarł palce w serwetę, wstał i poklepał matkę po ramieniu. Sięgnął po czworokątny pakunek, który ze sobą przyniósł, usiadł, umieszczając go sobie na kolanach, i spojrział na matkę.

– Nie będziemy żyć jak ci głupi chłopcy – rzekł. – Wydaje im się, że są kimś, bo mają własne gospodarstwo. Ale my mamy coś, czego oni nigdy nie pojmą. My mamy piękno ludu.

Matka odsunęła swój talerz, złączyła dłonie, opierając je na stole, i skinęła potakująco głową.

– Piękno ludu – powtórzył.

Ojciec otworzył stołową szufladę, wyjął z niej partyjną broszurę socjaldemokratów i położył ją między nimi.

– Pamiętasz Hansa? – zapytał.

Matka potaknęła.

– Posprzątaj – zwróciła się do Marie.

Dziewczynka błyskawicznie wstała i zaczęła zbierać talerze i sztućce, które wstawiła do zlewu. Talerz z resztkami świńskiego ryja, pod chroniącą przed owadami siatką, zaniósła do spiżarki, nie przestając przysłuchiwać się słowom ojca, który zwracał się do matki tonem, jakiego od dawna nie słyszała. Kaj i Valdemar siedzieli jak myszy pod miotłą w nadziei, że nikt nie zwróci na nich uwagi.

– Wyjechał do Holandii, do Eindhoven.

– Z tą swoją *madame*? – dociekała matka Marie. – Chyba nic z tego nie wyszło?

– W każdym razie wrócił do domu, kompletnie splekany – ciągnął ojciec. – Zapytał, czy nie potrzebuję ucznia, ale powiedziałem mu, że to tak, jakbym wyrzucał własny chleb ptakom, zanim sam będę syty. Wtedy spytał, czy nie chciałbym

kupić obrazu, który dostał od tej *madame*, aby jak najszybciej zniknął z jej życia. Zażytył sobie za niego pięć koron.

Matka spoglądała na niego z rozdziawionymi ustami.

– Chyba się na to nie zgodziłeś?

– Piękno ludu – odparł ojciec i zaczął rozpakowywać zawiniątko. – Ci tutejsi pieprzeni chłopci nie znają się na tym, obchodzi ich tylko żarcie. A my spokojnie damy sobie radę, jedząc przez tydzień same ziemniaki, prawda chłopcy?

Marie podeszła i stanęła obok matki. Valdemar uniósł ostrożnie wzrok i potaknął.

– Lubię ziemniaki – wymamrotał.

Ojciec wyciągnął rękę i poklepał go po policzku. Potem odłożył obraz na stół.

Malowidło miało długość równą szerokości dwóch dłoni, a wysokość jednej. Większość kolorów stanowiły ciemne barwy. Przedstawiało dwie kobiety w długich czarnych sukniach, podobnych do tych, które przywdziewała matka Marie. Kobiety uwieczniono od tyłu, jak pochylały się do przodu, w stronę brunatnego pola. Pomiędzy nimi stał pleciony kosz z uchwytem, wypełniony jasnymi okrągłymi ziemniakami. Kilka sztuk nie trafiło do celu i leżało obok, na błyszczącej glebie. W tle widoczne było jakieś niewyraźne zielone ogrodzenie, może żywopłot, i jakieś wysokie wiotkie kwiaty. Dwa ogłowione drzewa pochylały się nad kobietami, jakby chciały je pocałować. Niskie wieczorne słońce przebijało się między nagimi gałęziami, rozświetlając czarne czepki kobiet. Nad tym wszystkim rozciągało się bladoszare niebo, które Marie tak dobrze znała z Langeland. Na samym dole widniał niewprawny podpis *Vincent*. Marie przytknęła palec dokładnie w miejsce, gdzie słońce przebiło się przez listowie.

– Słońce – odezwała się jednym słowem.

– Przecież nie możemy tego zawiesić na ścianie – wtrąciła matka. – To nieprzyzwoite.

– Kopanie ziemniaków nie jest chyba nieprzyzwoite – zauważył ojciec. – Ty wtedy też wypinasz tyłek.

– Mógł je namalować z drugiej strony – skomentowała matka, ściągając usta w ciup.

– Wtedy nie zobaczylibyśmy słońca – zwróciła uwagę Marie, ponownie dotykając obrazu. To były dwie cienkie plamy bieli i głębokiej żółci; wyczuła pod palcem grubość farby. Przesunęła nim ponad sylwetkami kobiet aż do rogu obrazu.

– Pszczeli Kaju! – zawołał ojciec uroczystym tonem. – Przynieś mój młotek i gwóźdź.

Kaj wstał i wybiegł z kuchni.

– Tak, najwyraźniej nie mam tu nic do powiedzenia – podsumowała matka.

– Możesz mówić, co ci się żywnie podoba – odparł. – Czegoś takiego nie ma żaden z tutejszych chłopów.

Marie już miała powiedzieć coś, co odwróciłoby jego uwagę, gdy matka niespodziewanie wstała i pocałowała go w policzek.

– Masz szczęście – przyznała. – Choć te wieśniaczki z Humble są głupie jak but, to jednak zapłaciły mi dzisiaj za sukienki.

Wsunęła dłoń do kieszeni fartucha i położyła na stole talara.

– Nie będziesz musiał jeść samych ziemniaków – zaznaczyła.

Marie odetchnęła z ulgą. Chwyciła wiadro i wyszła na zewnątrz, aby zaczerpnąć wody do zmywania, podczas gdy ojciec, stojąc na wprost od na wpół otwartych drzwi, wbijał w ścianę gwóźdź i wieszał obraz. Wyglądało to, jakby w pomieszczeniu przybyło kolejne okno.